

# HISTORIA CZY IDEOLOGIA?

**Profesor Paweł Machcewicz, dyrektor tworzącego się Muzeum II Wojny Światowej, w dodatku „Europa” do tygodnika „Newsweek” z 6 maja tego roku opublikował tekst zatytułowany *Nowa wojna pamięci*. Uważa on, że wychodząc z jednego zafałszowania obrazu II wojny światowej, jaki został poczyniony w PRL, w III Rzeczypospolitej podążamy w kierunku zafałszowania kolejnego. W PRL dominował – czy wręcz tylko i wyłącznie istniał – wątek okupacji i eksterminacji hitlerowskiej, teraz zaś mamy do czynienia z interpretowaniem tamtego czasu jako okresu przede wszystkim zbrodni sowieckich uczynionych na narodzie polskim.**

O ile teza Machcewicza, mówiąca o skupieniu się polskiej historiografii po roku 1989 na wątku wschodnim, wydaje się być trafna – ale i też uzasadniona potrzebami wypełnienia istniejącej ogromnej luki – o tyle druga wydaje się być co najmniej kontrowersyjna. Historyk ten oponuje przeciwko zrównywaniu okupacji hitlerowskiej i sowieckiej. Jako dowód przytacza liczby: 5,7 mln obywateli polskich (różnych narodowości) zamordowanych przez Niemców i 150 tys. zamordowanych przez Sowieców. Dane te przytacza za badaniami IPN i Ośrodka „Karta”, opublikowanymi przed rokiem w książce *Polska 1939–1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami* wydanej pod redakcją Wojciecha Materskiego i Tomasza Szaroty. Oczywiście, nie są one do końca precyzyjne, pozostają jednak przy tym rzędzie wielkości.

Coś, co musi zdumiewać w takim myśleniu, to skupienie się wyłącznie na liczbach. Bo gdzie w tym zestawie mieszczą się deportowani (niech ich będzie nawet według najbardziej ostrożnych szacunków „zaledwie” 500 tys.), gdzie są śmiertelne ofiary tych deportacji, gdzie są żołnierze przymusowo wcieleni do Armii Czerwonej lub do *stroitielnych* batalionów, gdzie wreszcie powojenne polskie ofiary systemu sowieckiego, będące bezpośrednim skutkiem działań wojennych? Na przykład w 1951 r. zesłano do łagrów około tysiąca żołnierzy Armii gen. Władysława Andersa, którzy zdecydowali się wrócić w swe rodzinne strony (włączone do ZSRS); często były to deportacje z całymi ich rodzinami. A przecież pytania trzeba stawiać nie tylko o liczbę zabitych i straty materialne, ale w równym stopniu o to, która okupacja wyrządziła większe straty w sferze mentalności narodu i jego codziennych zachowań.

Niemcy postawili na bezwzględną biologiczną eksterminację. Polacy mogli w tej sytuacji albo ją potulnie przyjmować, albo się jej zbrojnie przeciwstawić. Wybrali to drugie, choć też trzeba przecież pamiętać, że najliczniejsza podziemna armia świata podczas II wojny światowej to zaledwie 1 proc. polskiego społeczeństwa. Ważne jest to, że bezwzględne traktowanie Polaków wyzwało ich opór i bohaterskie postawy. Wróg był jasno określony i należało się z nim bić na śmierć i życie.

Polityka sowiecka była inna. To też była eksterminacja, tyle że klasowa, bo skierowana w pierwszym rzędzie przeciw bogatym, urzędnikom państwowym, wojsku, elitom intelektualnym, duchowieństwu. Więcej, ten system mordował powoli, latami, z całą premedytacją. Chodziło o to, żeby do niewolniczej, a zarazem katorżniczej pracy przy budowie systemu

zaprzac miliony ludzi (Biełomorkanał, Kolej Transsyberyjska, kopalnie workuckie, kuzbaskie, donieckie itd.). Przyjęto regułę: niech nawet żyją jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat, ale w tym czasie ich zdrowie i siły będą wykorzystywane do budowy potęgi imperium komunistycznego. W tym systemie wróg nie występował z otwartą przyłbicą, nie mówił wprost o swoich planach wobec Polaków, jak i innych podporządkowanych narodów, często stosował swoisty kamuflaż własnych intencji, ukrywając go pod takimi hasłami, jak wolne wybory, wolność jednostki, dobro ogółu. W tym systemie o wiele trudniej było rozpoznać wroga.

Obydwa totalitarne systemy stwarzały szanse. Jeśli ktoś stał się folksdojczem, mógł nie tylko uratować życie, ale i mieć pewne przywileje. Jeśli ktoś zechciał wstąpić do partii komunistycznej, ratował się przed represjami i też mógł korzystać z określonych przywilejów. Oczywiście, w obu przypadkach nawet całkowita subordynacja wcale nie gwarantowała pełnego bezpieczeństwa. W obu systemach takiej gwarancji nie miał nikt – nawet hitlerowski marszałkowie i sowiecka nomenklatura.

To, co było z pewnością najstraszniejsze w systemie sowieckim, to wspomniane powyżej zniewolenie ducha; to nazywanie sowieckich wyborów normalnymi demokratycznymi wyborami; wyrzucenie z ojcowizny – repatriacją; zniewolony, satelicki kraj – w pełni niezawisłym i niezależnym. Skutki trwającej do 1989 r. sowieckiej indoktrynacji podbitych narodów do dziś są obecne w ludziach ukształtowanych przez system.

Wszystkie te zagadnienia bardzo obszernie omawialiśmy i badaliśmy na seminarium magisterskim i doktoranckim – wspomnianego przez dyrektora Muzeum II Wojny Światowej – prof. Tomasza Strzembosza.

Nie chcę kłaść na szali dwóch zbrodniczych systemów i odpowiadać na pytanie, który z nich był straszniejszy. Moją poważną wątpliwość budzi jednak twierdzenie *ex cathedra*: system hitlerowski był straszniejszy, bo mówią o tym liczby. Historia to nie matematyka, nie wszystko jest tu policzalne. Z pewnością nie jest policzalna sfera ducha, sfera mentalna, w której zmiany mogą trwać nawet przez kilka pokoleń. W takie niczym nieoparte twierdzenia łatwo wpisać chociażby akcję: zapalmy 9 maja znicze na grobach czerwononarzystów. Bo wtedy symbol władzy sowieckiej, czerwona pięcioramienna gwiazda, wydaje się niegroźny i nawet straszną rzeczywistość lat 1944–1945 – wkroczenie Armii Czerwonej na ziemię polskie, areszty, deportacje, egzekucje, gwałty, zabór mienia – można relatywizować i ukazywać jako wyzwolenie naszych ziem. Swoją drogą, czy ktoś pytał tych w większości młodych ludzi, sowieckich żołnierzy czy też ich rodziny, czy chcą leżeć na cmentarzach bez krzyży, bez półksiężyca, symboliki religii judaistycznej, bez Boga? Pytanie jest retoryczne, ale w 65 lat po zakończeniu działań wojennych, prawie 20 lat od upadku Związku Sowieckiego, może warto zapytać o brak jakiegokolwiek symboliki religijnej na tych cmentarzach.

Nijak nie mogę zrozumieć powiązania palenia świeczek na grobach sowieckich żołnierzy z upamiętnianiem przez Rosjan ofiar prezydenckiego samolotu. Przecież gdyby w Polsce spadł samolot z wieloma ważnymi osobistościami Sri Lanki lub Gabonu, też byśmy współczuli ofiarom i ich państwom i też zapalalibyśmy świeczki przy ambasadach. W naszych stosunkach ze zwykłymi Rosjanami niczego nie musimy naprawiać ani tłumaczyć.

Przez ostatnie dwadzieścia lat wielokrotnie podróżowałem po wielu krajach na wschód od Bugu, w tym po Rosji. Jeździłem tam koleją, samolotem, autobusem, tirem (z Gdańska do Tomsku przez Kazachstan), a nawet autostopem. Nigdy nie spotkałem się z wrogością, niechęcią lub niezyczliwością zwykłych ludzi. Wprost przeciwnie, na Rosjan zawsze można liczyć. Owszem, miałem kłopoty na przejściach granicznych, w relacjach z celnikami czy

rosyjskimi urzędnikami. Ale ze zwykłymi ludźmi... Mam wrażenie, że w akcji palenia świeczek chodzi o ideologię. Tylko o jaką i komu służącą?

Paweł Machcewicz, formułując opinię o mniejszej szkodliwości systemu sowieckiego, stwierdza: „[...] kłóci się to z powszechnymi odczuciami Polaków w 1945 r., którzy w masowej skali witali Armię Czerwoną jako wyzwoliciela od straszliwej niemieckiej okupacji, choć jednocześnie zdawali sobie sprawę, że jej żołnierze nie niosą wolności, ale nowy rodzaj zniewolenia”. Na jakich badaniach opiera się autor, twierdząc, że Polacy masowo witali w 1945 r. Armię Czerwoną?

Znam natomiast sporo wspomnień, dobrze udokumentowanych, które mówią o tym, jak polska ludność z Kresów Wschodnich przyjmowała wieść o wkraczającej 22 czerwca 1941 r. armii niemieckiej. Mówią o tym zapisy wspomnień uczestników marszu śmierci Mińsk – Czerwień, uwolnieni więźniowie z wileńskich Łukiszek, lwowskich Brygidek, więźniów Łucka, Złoczowa, Dubna, Prowieniszek itd. Także wielu tych, którzy z trwogą oczekiwali w swych domach na przyjazd NKWD, by znaleźć się w kolejnych eszelonach zdążających na wschód. To nie były bramy triumfalne budowane na cześć wyzwolicieli, ale z pewnością wewnętrzny oddech ulgi, że tym razem się jeszcze udało. Nie poważyłbym się przy tym na stwierdzenie, że Polacy na wschodnich terenach Polski witali armię hitlerowską jako wyzwoliciela.

O bramach triumfalnych witających Armię Czerwoną w 1939 r. sporo pisał prof. Tomasz Strzembosz, ale to zupełnie odrębna historia.

Paweł Machcewicz twierdzi, że historia II wojny światowej jest ideologizowana przez część elit i traktowana jako „ważny instrument polityki oraz radykalizacji postrzegania samego komunizmu”. Nie precyzuje przy tym, które to elity (trudno taki zarzut postawić np. środowisku, które wymyśliło i stworzyło Muzeum Powstania Warszawskiego). Przez pomniejszanie roli komunizmu, pomijanie jego wpływu na ducha milionów ludzi w Polsce i jego długofalowe skutki autor sam niebezpiecznie wpisuje się w ideologię.